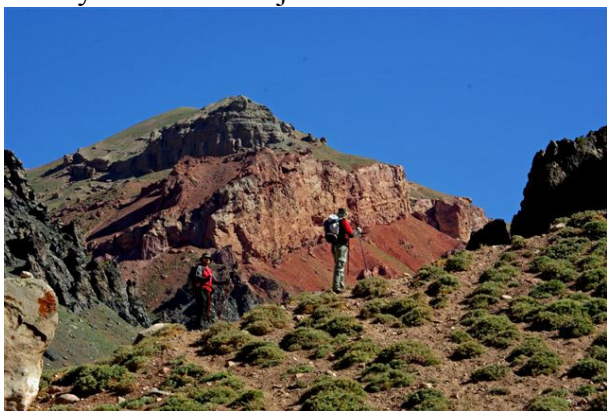


Wstęp

Wylot z Polski 17-01-2008. Następnego dnia jesteśmy już w Santiago de Chile i wieczorem siedzimy w hotelu w przytulnym patio przy chilijskim winie. Dzień następny to przejazd do Mendoza. Po drodze dwie godziny bezproduktywnego oczekiwania na granicy, ale wieczorem delektujemy wino argentyńskie. Następnego dnia, po południu mamy wyczekane długo i cierpliwie (urzędnicy tam są bardzo skrupulatni) pozwolenia wejścia na naszą górę, więc ruszamy. Wieczorem na kolację spożywamy steki popijając piwem w Puente del Inka, miejscu skąd wyruszają karawany na Aconcagua – najwyższy szczyt Ameryki Południowej.



Jeszcze dwa następne dni będziemy spacerować po pobliskich wzgórzach, aby zdobyć wstępną aklimatyzację, a potem już 11 dni akcji górskiej, podczas których weszliśmy wszyscy na szczyt.



23-01-2008 (środa): Dzień pierwszy

Pobudka o godzinie 3.30 nad ranem. Wkładam leżące obok śpiwora zimne ciuchy walcząc z przesywającymi ciało dreszczami i wyjątkowo natrętną myślą, że następnym razem wybiorę się na urlop do pięknej, ciepłej, wczasowej miejscowości z noclegiem w

czterogwiazdkowym hotelu i pełnym wyżywieniem w restauracji...

Po śniadaniu, czekając na samochód przyglądamy się załadunkowi naszych bagaży na muły. Długo obserwujemy. Ależ to twarde zwierzęta!



Kawałek podjeżdżamy samochodem. Ok. 5.30 wysiadka i start do góry. Dziś do pokonania mamy dolinę Horcones: ok. 30km i 1600m przewyższenia – w zależności od warunków i kondycji od 8 do 12 godzin ciągłego marszu.

Ruszam i staram się iść szybko. W ciemnościach tylko raz mylę drogę, więc nie jest tak źle. Wracając za dwa tygodnie tą samą drogą w dzień, będę się dziwił jak w zupełnych ciemnościach, bez czołówki potrafiłem iść tak szybko po wyjątkowo wyboistej, kamiennej, stromej ścieżce biegnącej pół metra od przepaści...

Wchód słońca ok. godziny 8.00. Pięknie oświetlone granie. „Trzepię” tak dużo zdjęć, że nie zauważam nawet stromego podejścia. Ok. 9.00 wejście do doliny, którą będziemy szli już do końca dnia. Dolina dosłownie poraża swym ogromem. Podobne widywałem do tej pory tylko w wyobraźni i westernach. Idę szybko zostawiając kolegów sporo z tyłu. Co jakiś czas mijają mnie większe lub mniejsze karawany obciążonych, zakurzonych mułów.



Poznaję, że jedna z nich niesie nasze bagaże. Muły idą równym tempem jakby nie zwracając uwagi na to, że ścieżka na prawdę jest trudna i wręcz niebezpieczna. To niewiarygodne jakie te zwierzęta są szybkie i zwinne.

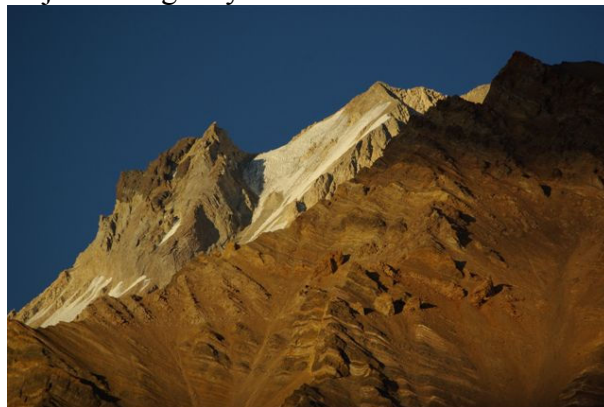
Po kilku godzinach szybkiego marszu po lekko tylko wznoszącym się terenie zaczyna się strome podejście. Jak powiedział kiedyś generał Bolesław Wieniawa: „Skończyła się zabawa, zaczęły się schody...” bo od tej chwili już tylko ostre, bardzo ostre lub skrajnie ostre podejścia i walka z wysokością. W miarę płasko i względnie łatwo będzie dopiero podczas powrotu...



Dopiero zbliżam się do wysokości 4000mnpm, a wysiłek wkładany w pokonywanie kolejnych metrów niepomniernie większy niż rano. Tempo marszu trzy razy wolniejsze, tętno trzy razy szybsze... Tak już będzie do końca dnia: tempo coraz mniejsze, tętno coraz szybsze. Ostatnia godzina marszu jest już tak trudna, że pcha mnie dalej chyba tylko świadomość bliskiej już – w zasięgu wzroku – bazy do której zmierzamy. To jak finisz w maratonie! Ostatecznie po 9 godzinach ostrego marszu zrzucam plecak w bazie i siadam próbując przez następne 15 minut wyrównać oddech. Nic z tego! Nieprzyzwyczajenie do wysokości nie pozwoli dziś na wyrównanie oddechu.

Tak naprawdę, to trzeba jeszcze rozstawić namioty. Normalnie nie jest to jakaś szczególnie trudna, czy męcząca czynność, ale dla nieprzyzwyczajonego do wysokości organizmu, po całodziennym marszu, wymaga ona wręcz nadludzkiego wysiłku. Zresztą jak się okazuje, sporego wysiłku, przyspieszającego tętno dwukrotnie wymaga nawet zrobienie kilku kroków w tempie szybszym niż prędkość zakochanego zółwia na spacerze.

Ok. 22.00 kładziemy się spać, mając nadzieję, że jutro ból głowy minie.

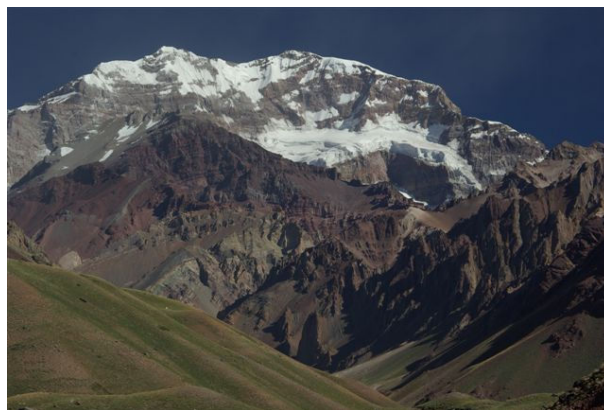


24-01-2008 (czwartek): Dzień drugi

Baza na Plaza de Mulas na wysokości 4300mnpm. Spore miasteczko namiotowe. Różne narodowości.

Dzisiaj resting day, czyli dzień na aklimatyzację, a nazywając po imieniu odpoczynek. Zresztą i tak nikt nie miałby siły na jakikolwiek wysiłek większy niż wolny spacer na przeciwległy kraniec miasteczka i podniesienie kufla z piwem...

Dotyczy to nie tylko nas, przybyłych tu wczoraj. W ogóle życie w miasteczku toczy się jakby w zwolnionym tempie.



25-01-2008 (piątek): Dzień trzeci

Dziś pierwsze wyjście do Nido de Condores na wysokość 5300mnpm, gdzie założymy nasz Obóz I.

Pamiętając, że w końcu nie jesteśmy tu dla przyjemności budzimy się o 6.00 i wychodzimy już przed 9.00. Plecaki lekko obciążone. Dziś chodzi przede wszystkim aby dojść na założoną wysokość.

Droga pnie się w górę stromo lub bardzo stromo. Idziemy wolno. Tak wolno, że trudno to opisać. Trzymająca się za ręce, zakochana

para w parku poruszała by się przy nas z zawrotną prędkością. Mimo tak wolnego tempa, płuca pracują jak podczas finiszu maratońskiego lub „Biegu na Pilsko”. Idąc w górę, próbuję sobie nawet wyobrazić, że biegnę w zawodach.

Ok. 1000m przewyższenia pokonuję w 3 godziny 40 minut. Na górze 10 minut dla wyrównania oddechu. Obóz I na Nido de Condores to też sporo namiotów. Jak okazuje się, ruch na tej górze w ogóle jest spory.

Chwila odpoczynku (tak trochę ponad godzinę), rozstawiamy namiot, zostawiamy depozyt i w dół, gdzie więcej tlenu.

Schodzi się wyjątkowo łatwo i szybko. Po godzinie jestem w bazie.



26-01-2008 (sobota): Dzień czwarty

Dzisiaj wyjście transportowe do obozu I. Podobne jak wczoraj, ale plecak znacznie cięższy. Wydawałoby się, że za drugim razem droga minie łatwiej. Nic z tego. Cięższy plecak i zmęczenie po wczorajszym dniu powoduje, że droga w górę zajmie mi pełne cztery godziny, czyli dłużej. Jednak dziś na Nido de Condores ból głowy jest już znacznie mniejszy, co dobrze wróży na przyszłość.



27-01-2008 (niedziela): Dzień piąty

Resting day przed główną akcją szczytową. Dziś niedziela, więc żartujemy, że trzeba by iść do kościoła. Żart polega na tym, że w jedną stronę jest 10 godzin marszu, a potem powrót pod górę... Nikt się nie zdecydował!

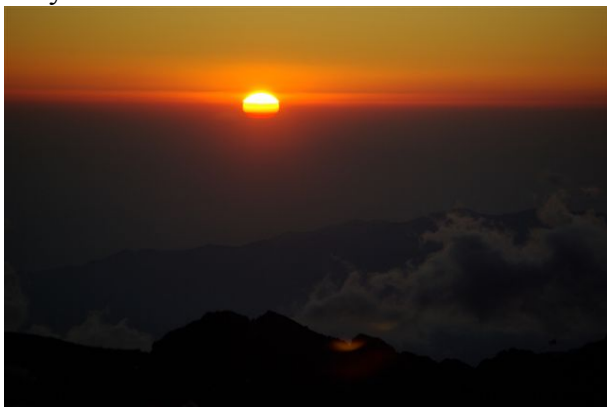


28-01-2008 (poniedziałek): Dzień szósty

Rano nie chce się wychodzić ze śpiwora. To chyba przez świadomość, że to ostatnia tak „komfortowo” przespana noc. Dziś wychodzimy na stałe do Nido de Condores. Porządki w bazie przed kilkudniową nieobecnością. Segreguję i pakuję wszystko co trzeba zabrać w górę. Nie zapominam o miniaturowej butelce wina musującego: A nuż uda się wejść na szczyt!? Na koniec zwijam swój namiot. Pakuję plecak, dociągam taśmy, podnoszę i... znowu zdziwienie, że to wszystko aż tyle waży!

Wychodzimy ok. 13.00. No, z takim plecakiem nie ma co liczyć na rekord! Pierwsza dziesięciominutowa przerwa po godzinie i czterdziestu minutach, następne co godzinę. Całość do obozu I ponad pięć godzin. Od razu rozkładamy przyniesione dodatkowe trzy namioty.

Ok. 22.00 piękny zachód słońca. Robię zdjęcia żalując, że nie mam statywu, i spać. Na dziś dosyć.



29-01-2008 (wtorek): Dzień siódmy

Budzę się, już kolejny raz około 8.00 rano. Całą noc było zimno, teraz szczególnie. Zaczynam żałować, że zabrałem na wyprawę stary, 20-letni śpiwór, a nie zaopatrzyłem się w nowy. Wewnętrzne ściany namiotu pokryte są milimetrową warstwą szronu. A przecież w nocy nie było więcej niż jakieś 12 stopni mrozu. Tulę się do mokrego śpiwora, starając się jakoś zagospodarować resztki ciepła. Po 9.00 wychodzę z namiotu. Nie jest już tak zimno. W kurtce puchowej jest nawet dość komfortowo.

Topienie śniegu i lodu, potem śniadanie.

Rano odwiedza nas Alek Lwow, który wczoraj zszedł ze szczytu. Gratulujemy mu wejścia wiedząc, że jest to jego już kolejne wejście na tę górę.



Po południu wychodzimy założyć obóz II na przełęczy Plaza Colera na wysokości 5950mnpm. Plecaki niezbyt obciążone. Wychodzę o 13.50. Idzie się dobrze i po nie całych dwóch godzinach pokonuję 650m przewyższenia. Straszna zadyma. Rozkładam w pośpiechu namiot i ruszam w dół. Pół godziny i z powrotem obóz I. No i na powrót

piękna, słoneczna pogoda. Jakby góra dawała nam do zrozumienia, że tutaj możemy przebywać, ale wyżej nas nie chce!

Robię prowizoryczny „statyw” z plastikowego worka i piasku i czekam na zapowiadający się piękny zachód słońca.

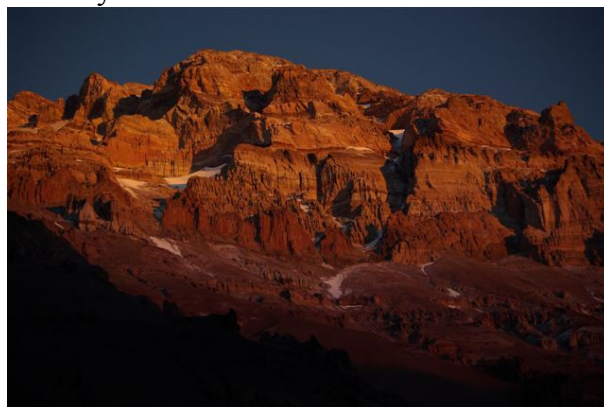


30-01-2008 (środa): Dzień ósmy

W nocy standardowo zimno i wszystko w namiocie jest mokre. Tak będzie co noc, aż do zejścia z powrotem do bazy. Śpimy dłużej, aż do 10.00. O tej godzinie jest już względnie ciepło, bo tu słońce „wstaje” wcześniej niż w dolinach.

Dziś w planie wyjście do obozu II, a jutro atak szczytowy!

Nie spieszymy się. Wychodzimy po południu. Koledzy wynoszą do góry swój sprzęt osobisty i żywność na 2-3 dni. Ja pomagam im wnieść namioty.



Jak ustaliliśmy wcześniej cztery osoby zostają w obozie II, skąd jutro wyruszą na szczyt, a ja i Ryszard wracamy na Nido de Condores. Coś za coś: będziemy spać o 600m niżej, ale jutro trzeba się będzie nieźle sprężyć, aby te 600m pokonać dodatkowo. Czujemy się dobrze, więc jesteśmy pewni, że nam się uda.

W obozie II pogoda beznadziejna jak wczoraj. Wieje i sypie. Ci co zostają rozkładają w

zadymie drugi namiot, a ja schodzę szybko w dół.

Na dole kolacja, jak co dzień zdjęcia zachodu słońca i szybko spać, bo jutro dzień próby!



31-01-2008 (czwartek): Dzień dziewiąty - decydujący

Dziś atak szczytowy!

Pobudka o 4.30. Miałem nadzieję, że Ryszard nie obudzi się tak wcześnie jak zapowiadał, ale on chyba w ogóle nie potrzebuje snu! Cały dzień zasuwa szybciej niż najszybsi, a w nocy to pewnie rozwiązuje szarady, albo chodzi na spacer z psem przy księżycu lub czołówce ... Krótka, przelotna myśl „Po co ja się w to wpakowałem...”, wypad z mokrego śpiwora i pośpieszne wciąganie na siebie wilgotnych, zimnych ciuchów „szturmowych”. Po wyjściu z namiotu okazuje się, że jest co prawda ciemno i zimno, ale nie ma wiatru i widać pięknie wszystkie gwiazdy, a zwłaszcza Krzyż Południa. Dzień zapowiada się pięknie!



Ryszard międzyczasie stopił już lód i zaprasza na standardowe „szturm-żarcie”, czyli rozpuszczone w wodzie mleko z płatkami lub inne, równie beznadziejne śniadanie. Szybko połykam przez zaciśnięte gardło zupkę, aby opróżnić menażkę zanim dostanę całkowitego „skrętu kiszki”, wołając równocześnie do Rysia, że żarcie jest super i nigdy lepszego nie

jadłem! Wrzucam sprzęt do plecaka i jestem gotowy.

Wyruszamy w górę po 6.00. Idziemy szybko i po jednej godzinie i piętnastu minutach jesteśmy w obozie II. Jest pusty, czyli koledzy też wstali wcześniej i są już w drodze na szczyt. Wyciągam aparat i fotografuję piękny wschód słońca, równocześnie zmieniając buty na „szturmowe”. W sumie pół godziny przerwy i w górę!

Idę dość wolno, ale konsekwentnie. Każdy krok to mój kolejny rekord wysokości, więc nie ma co się szarpać. Zwłaszcza, że przede mną co najmniej 6 godzin marszu do góry. Po około półtorej godzinie zakładam raki – dalej już sporo śniegu.



Okolo 13.00 doganiam kolegów odpoczywających przed „ostatnią prostą”. 15 minut przerwy, kilka łyków herbaty, trzy kostki czekolady, sześć bojowych uśmiechów i na szczyt, bo zostało już tylko 250m przewyższenia. Tu zaskoczenie. Ten ostatni odcinek idzie się wyjątkowo trudno. Jest dosyć stromo, wysokość powyżej 6700mnpm, sypie śnieg i jest wiatr. Zmęczenie. Idę „noga za nogą”, a tętno chyba ze 160. Ta ostatnia godzina naprawdę dużo mnie kosztowała. Na szczyt wchodzę ok. 14.40.

Chwila dla wyrównania oddechu i ogromne zadowolenie, przede wszystkim dla tego, że wyżej już się nie da. Aconcagua, 6962mnpm. To najwyższe miejsce na półkuli zachodniej. Nie ma dużego wiatru, choć sypie śnieg i widoczność zaledwie na kilkanaście metrów. Szkoda, bo miałem nadzieję na sfotografowanie panoramy. Nic z tego.



Czekamy na pozostałych kolegów robiąc pamiątkowe zdjęcia przy niewielkim, krzywym krzyżu obwieszonym pamiątkami po zdobywcach. Sam wieszam na nim medal z „Mistrzostw Polski w biegu po schodach”, który przyniosłem tu specjalnie w tym celu. Mały toast na górze podkreśla, że teraz wszyscy czujemy się zwycięzcami. Jeszcze wspólne zdjęcie i w dół. Pół godziny na szczycie wystarczy, bo trzeba jeszcze zejść.

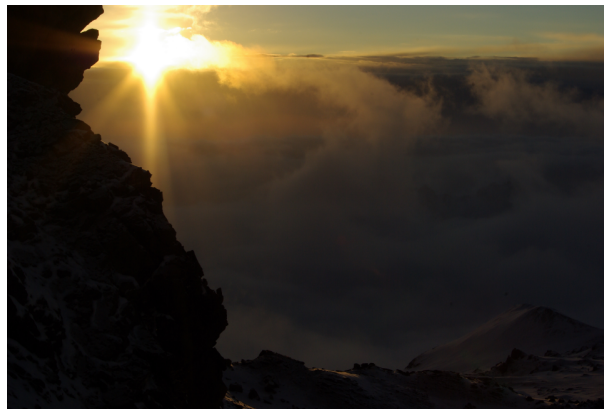
Schodzić trzeba ostrożnie. W mikstowym terenie (skała, śnieg, lód), trzeba bardzo uważać jak stawia się uzbrojone w raki stopy. Chwila nieuwagi i... ląduję na plecach. Mam szczęście. Niewiele wcześniej podchodzący z dołu Amerykanin, w podobnej sytuacji zsunął się kilkanaście metrów po stromym śnieżno-skalistym zboczach, raniąc, na szczęście niegroźnie twarz. Za dwa dni, już w bazie, będziemy mu życzyć, aby następnym razem był ostrożniejszy.

Po godzinie dochodzimy do łatwiejszego terenu. Teraz już tylko w dół. Niektórzy są już bardzo wyczerpani, choć ja czuję się dobrze i coraz lepiej z każdym metrem w dół. Słońce jest jeszcze dość wysoko kiedy osiągamy biwak w obozie II.



Kolekty zaraz biorą się za topienie śniegu, którego dziś napadało sporo, a ja i Ryszard schodzimy w dół, aby zdążyć przed

zmierzchem. Jedna godzina i jestem przy swoim namiocie. Zmęczenie jest tak duże, że tylko szybkie gotowanie dla zbitcia pragnienia i szczęśliwie spać. Nic z tego. W nocy znowu będę trząsł się z zimna w moim mokrym śpiworze. Na szczęście to już ostatni raz, a poza tym po zwycięstwie wcale mnie to tak bardzo nie martwi.



01-02-2008 (piątek): Dzień dziesiąty

Dziś nie ma pośpiechu. Leżę spokojnie w swoim śpiworze i czekam aż wstanie słońce i zrobi się cieplej, choć Rysiek już przed 9.00 zaprasza na herbatę. Odkrzykuję, że to „super”, bo już dawno nie śpię, po czym wskrzeszam ostatnie pokłady silnej woli, o których istnieniu sam nie wiedziałem, aby wyjść z namiotu.

Czas płynie leniwie. Około 2.00 po południu kolejno schodzą z góry kolekty. Małe przepakowanie i wszyscy w dół.

Schodzenie w dół do tej pory może nie było przyjemne, ale było dość łatwe i szybkie. Ale dziś w plecaku jest ponad 30kg. To sporo zwłaszcza, że w moim debiutującym tu, nowym transportowym plecaku z 5-letnią gwarancją, właśnie urwał się główny element nośny, czyli pas biodrowy. Mamrocząc pod nosem przekleństwa na producenta, staram się utrzymać niesymetrycznie obciążony kręgosłup w pionie, ale przez to dwu i półgodzinne zejście po bardzo stromych piargowych ścieżkach staje się prawdziwym koszmarem. Zrzucając zdefektowany, ciężki wór obok namiotu w bazie mam już dokładnie obmyślane wszystkie przedśmiertne męki dla producentów mojego plecaka!

Humor poprawia mi myśl, że tu w Plaza de Mulas, na wysokości 4300mnpm nie ma już tak wielkich mrozów i chyba wreszcie się wyśpię.



02-02-2008 (sobota): Dzień jedenasty

Koniec akcji górskiej. Dziś schodzimy doliną Horcones do Puerta del Inka.

Rano pakowanie, zwijanie namiotów, segregowanie śmieci. Potem wszystko do worów i gotowe do transportu mułami w dół. Z tym wszystkim schodzi nam do godzin popołudniowych. Krótki odpoczynek i o godzinie 14.30 wrzucamy na plecy nasze podręczne plecaki i w drogę. Przed nami co najmniej 6 godzin szybkiego marszu piaszczysto-kamienną doliną. Idzie się szybko. Co jakiś czas musimy przepuszczać pędzące w kurzu i pyle karawany mułów. Robię dużo zdjęć, choć obiektyw w mojej lustrzance jest tak zakurzony, że nie wiem, czy coś w ogóle z tego wyjdzie.



Na koniec, dosłownie na godzinę przed końcem drogi przykry „wypadek”. Jacek, próbując przeskoczyć przez zagradzającą drogę rwący strumień traci plecak. Plecak ląduje w mętym strumieniu i po 5 sekundach tracimy go z oczu. W plecaku jest Nikon z zapisanymi zdjęciami z całej wyprawy. Dopiero po chwili dochodzi do świadomości, że plecak, aparat i przede wszystkim zdjęcia zginęły bezpowrotnie. Licząc na cud przeszukujemy brzegi, schodząc kilkaset metrów w trudnym terenie z biegiem

strumienia. Nic z tego! Prąd jest zbyt szybki i rwący! Jacku, niestety pozostały ci już, co prawda bezcenne, ale tylko wspomnienia z wyprawy!

Przez ten wypadek tracimy dwie godziny i dochodzimy na dół już po godzinie 10.00 w całkowitych ciemnościach.

Zakończenie

Jak można się łatwo zorientować cały zamieszczony to opis nie jest rzetelną kroniką wyprawy, ale raczej spisem moich subiektywnych odczuć i przeżyć, opisywanych często bez wstępu i nawiązania. I takie jest tu założenie. Ale dla ścisłości podaję, że szczyt zdobyli 31-01-2008 pomiędzy godziną 14.30, a 15.10 wszyscy uczestnicy wyprawy, w kolejności wejścia:

- Rafał Bobiński
- Ryszard Pawłowski – organizator i lider
- Rafał Ferdyn
- Jacek Stielow
- Paweł Bobiński
- Krzysztof Dymek

Gratulacje dla wszystkich!



Cała wyprawa trwała 22 dni, tzn. 08-02-2008 wylądowaliśmy szczęśliwie w Polsce, mając już gotowe plany na następne wyjazdy i wyprawy.

Rafał Ferdyn

rafal@ferdyn.pl , www.ferdyn.pl

